

Włodzimierz Bolecki

Krytyk - semantyk nieliteracki

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4-5 (28-29), 95-107

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Włodzimierz Bolecki

**Krytyk —
semantyk nieliteracki**

Jeżeli napiszę o historiozofii Berenta, artykuł mój zostanie niechybnie odesłany w domenę krytycznoliterackich dowolności, jeśli zaś napiszę o funkcjach akapitu w prozie Schulza, pracy mojej mogą nie ominąć podejrzenia o ambicje naukowej dysertacji. Jak to jest, że gdy interpretuję metafizykę Witkacego, patrzą na mnie jak na Don Kichota snującego się po terenach całkowitej niekontrolowalności, a gdy rozważam aktualizację kodów gatunkowych w prozie Machejka, mówią: oto badacz, który jasno zakreśla poletko empirii. Albo tak jeszcze: jak to się dzieje, że gdy mowa o innowacjach narracyjnych i etycznych komplikacjach poznania w powieściach Brezy, to wypowiedzi te — nawet wówczas, gdy dotyczą tego samego utworu — zdają się traktować o rzeczywistościach tak radykalnie odmiennych, że wzajem niesprowadzalnych?

W tym miejscu chciałbym złożyć deklarację. Uwagi, jakie poniżej sformułuję, nie odpowiadają na pytania *kto?*, *gdzie?* i *kiedy?* Nie nawiązują bowiem do żadnych programowych sformułowań teoretycznych czy krytycznych, lecz do najczęściej spotykanych dziś *praktycznych* działań metaliterackich. Są tylko *hipo-*

Don Kichot
i badacz

tezą pewnego wymiaru powszechnej świadomości literackiej, próbą nazwania założeń często nieświadomie realizowanych lub po prostu przemilczanych. Gdyby przyrzeć się baczniej zarzutom formułowanym obecnie przez krytykę pod adresem teorii literatury, okazało by się, że najcięższym grzechem tej ostatniej jest nie tyle „wąska specjalizacja lingwistyczna”, „niezrozumiałość” czy „hermetyczność terminologiczna”, lecz dostrzeżenie w utworze literackim tylko i wyłącznie „struktur formalnych”. Dla krytyki — mówi się — literatura jest zawsze o czymś, porusza problemy ważne i sprawy krwią serdeczną zroszone, teoria zaś widzi w literaturze jedynie przekształcenia językowe i środki formalne, struktury wielkie (lecz niegłębokie...) i anonimowe — słowem, widzi... samą siebie. Teoria to najdziwniejszy Bazylisek, albowiem im dłużej przegląda się w lustrze literatury, tym mocniej krzepnie od krwi, którą pasożytniczo spija w trakcie swych teoretycznych procedur... Jeśli zatem dostrzegam, jak zło krąży nad kontynentami utworów, przybliżam się ku sensom istotnym treści nieprzemijalnych, jeśli zaś pytam o ewolucję struktur narracyjnych, poddaję się ułomnej nietrwałości metodologicznych mód i abstrakcji. Nie trzeba zbyt długo wyteżać wzroku, by dostrzec, że powyższe rozróżnienie między krytyką a teorią biegnie starym, przetartym szlakiem oddzielającym „treść” od literackiej „formy”. Ale — rzecz ciekawa — podział ten dotyczy nie tylko świadomości literackiej ostro wyodrębniającej *dwa sposoby mówienia o literaturze*, lecz także wrzyna się głęboko w rozumienie ontologii utworu literackiego. Dualizmowi działań społecznych odpowiada — immanentnie przez nie akceptowany — dualizm samej literatury. Bezдушna teoria — mówi krytyka — wyгнаła z literatury problemy jedynie ważne. Jestem tedy ich ostatnią obroną. Pochodniami swych znaczeń rozświetlam drogę dla treści, które giną w mrokach formalistycznej obojętności. Pochylam się z troską nad

Stary szlak
dualizmu

odchodzącym w niepamięć głosem sprawiedliwości wymierzanej widzialnemu światu. To ja słyszę jeszcze delikatny rytm serca serc, który gryzie mózgi, aby nie zarosły błoną podłości. Teoretyczna reszta jest milczeniem albo też powieścią (dla idioty, głośną, wrzaskliwą, a *nic nie znaczącą*. Nieświadoma krytyka — głosi z kolei teoria — pomija w swej naiwności językowość jedynie dostępną i snuje wokół tekstów impresje niesprawdzałne; nie wyczytuje z utworów, lecz wmawia w nie własne domysły szokujące fantastyką nie kontrolowanej wyobraźni. Gdy zatem jedna w hołubieniu „treści” dostrzega swe społeczne posłannictwo, druga traktuje je za ledwie jako ułomną konieczność szarodziennej wymiany informacji. Tam więc, gdzie pierwsza dostrzega siłę swej autonomii, druga widzi tylko pielęgnowanie niemocy. I tak żyją obok siebie, spoglądając jedna na drugą już to z pobłażaniem, już to z wyniosłością, przypisując sobie nawzajem już to nieprzemijalne, już to chwilo-trwałe. A przecież utwór literacki jest zawsze jeden — nie ma w nim ani „strony treści”, ani „strony formy”, ani centrum problemów, ani też prowincji teorii... Co jest zatem przyczyną tego *rozdwojenia*, które odmienność sposobów lektury (i działań społecznych) uzasadnia także — choć nie wprost — rozdwojeniem przedmiotu zainteresowań?

Nietrudno zauważyć, że bez specjalnych rozterek przyznajemy wypowiedziom teoretycznym status naukowości. Jest nieomal tak, jakby między „teoretycznym” a „naukowym” istniała w pełni oczywista tożsamość, przy czym jeśli dla Teorii naukowość traktowana jest jako najmocniejsze wsparcie, to dla krytyki jako najsilniejsze skrępowanie. Pierwsza pragnie więc z nauką całkowitej identyfikacji, druga zaś maksymalnego od niej wyodrębnienia. Ale pierwsza nie utożsamia się przecież z Nauką Powszechną, tylko z jedną z jej dyscyplin, której na terenie jej przedmiotowych zainteresowań przysługuje moc naukowych asercji. Krytyka także nie ucieka przed nauko-

Siła czy
niemoc?

Decydują
kryteria, a nie
teksty

wością generalną, lecz przed określoną postacią tej ostatniej. Czując głęboką niechęć do lingwistycznych deklaracji, chętnie opowie się — choćby połowicznie — za interpretacjami psycho- czy socjologicznymi. Niemniej „naukowość” okazuje się w relacji teoria — krytyka argumentem przesądzającym zawsze o ważkości tej pierwszej. Można by rzec, że wypowiedź teoretyczna zostaje nobilitowana ze względu na *aprioryczną styczność* z Nauką. Ale nietrudno zauważyć, że — w przyjętym tu rozumowaniu — nobilitacja owa dokonuje się nie tyle przez porównanie wypowiedzi lub ich funkcji, *lecz przez konfrontację kryteriów*, którymi są określone. „Jeśli jestem *naukowa* — głosi wypowiedź teoretyczna — to należy mnie traktować z respektem niezależnie od tego, o czym komunikuję, i poważniej od *krytycznoliterackich* dowolności, niezależnie od tego, co mają do powiedzenia”. W potocznej świadomości opozycja między wypowiedzią teoretyczną a krytycznoliteracką jest łatwa do określenia. Od pierwszej wymagać należy „aparatu porządkującego” dyskurs, druga zaś jest czystą improwizacją, gdy pierwsza opiera się na precyzyjnych założeniach, to druga z nonszalancją ich nie dostrzega... Ale tym samym wypowiedzi te są wyodrębniane przy pomocy różnych kryteriów. Wypowiedź teoretyczna (naukowa) musi spełnić określone wymagania, musi wypełnić pewną normę „naukowości”, której elementy nie tak trudno wyliczyć. Wypowiedź zaś krytycznoliteracka... nie spełnia żadnych reguł, nie ma bowiem żadnej Normy, której spełnienie gwarantowałoby status krytycznoliterackości. Za wypowiedź krytycznoliteracką zostaje uznana nie ta, która spełnia określone kryteria krytyczności, lecz ta, która *nie spełnia* norm naukowości (teorii lub historii literatury). Jest więc tak, jakby krytykę literacką wyodrębniały nie kryteria jej swoistości, lecz normy negatywne (antynormy), odnoszone do wypowiedzi pozakrytycznej. Tym samym krytyka literacka staje się także i tym wszystkim, czemu nie

Tożsamość
negatywna...

dane jest precyzyjnie się przez wąskie gardło „naukowości”. Tworzą więc tę krytykę zarówno odwieczni autochtoni, jak i stada tekstów o nieokreślonej genealogii. Spotkać można wśród nich pokraczne recenzentki tworki i nienaganne rozlewiska erudycyjnych domysłów. Wszystkie należą do rodziny krytyczno-literackiej, ponieważ nie jest dane im należeć do żadnej innej. Obok tej tożsamości negatywnej można w nich dostrzec tożsamość pozytywną: wszystkie dotyczą Treści — najbardziej podejrzanej i nieokreślonej sfery literackiej faktyczności. Ich mniemania naruszają sedno literackiej czystości, ale nie sposób odmówić im choćby okruszyny racji. Są najdalszą z ostatnich ariergard mówienia o literaturze. Swą anachronicznością podkreślają tylko dalekosiężność teoretycznej awangardy. Okupują beznadziejnie (bez teoretycznej żywności, wody i amunicji) bastiony św. Treści, choć uczono i choć wiadomo, że takowych nie ma i nie będzie, a tylko być może są jeszcze po nich ślady w pozółkłych fiszkach zakurzonych katalogów muzeum literackiej teorioświadomości.

... i pozytywna

Status takich wypowiedzi krytycznych stał się nagle nieokreślony. Z jednej bowiem strony sens swego istnienia widzą one w poruszaniu problemów („treści”), z drugiej zaś — dla teorii rygorystycznej — to, o czym mówią, nie ma w ogóle styczności z „literackością”. Tym samym więc, paradoksalnie, można by sądzić, że krytyka literacka — nie jest... literacka. Teoria rygorystyczna, wyodrębniwszy „literackość”, uczyniła z niej bowiem przedmiot *badania dla samej siebie*. Tak więc krytyka, która nie chce badać ani wiernie rekonstruować, ani zgodnie opisywać — przedmiot swoich treściowych niepokojów musi uznać za uzurpatorski. Musi więc — jak jej podszeptują usta teorii — uznać samą siebie za „nalot” interpretacyjny na nieskazitelnym porządku immanencji każdego dzieła. I zgadzać się już odtąd, że jest złem koniecznym i przemijalnym, naruszeniem i pogwałceniem autonomii literackiej czystości.

Zła tradycja

Dzisiejsze — wywiedzione z praktyk faktycznych! — przekonania o powinnościach krytyki i zadaniach teorii mają jednak swe uzasadnienia nie tylko w specyfice społecznego funkcjonowania obu typów działalności, lecz także — jak się zdaje — w historii myśli, która pragnęła być ściśle literacka. Zła tradycja krytycznych wypracowań na temat treści, które autor miał na myśli, kiedy pisał, wiąże się przede wszystkim z praktycznymi realizacjami interpretacji krytycznej pojmowanej jako problematyzowanie ludzkiego świata. Nic dziwnego, że naiwność biograficznych, socjo-genetycznych czy pseudofilozoficznych spełnień tej szlachetnej intencji wywołuje do dziś — od dziesiątków lat — odruch uzasadnionej niechęci. Toteż wszystkie przełomowe dla wiedzy o literaturze teksty o świadomości teoretycznej lub artykuły ściśle teoretyczne pisane były z intencją wygnania „treści” z mowy metaliterackiej oraz panujących sposobów ich wyczytywania. Czyni to konsekwentnie cała awangarda artystyczna i teoretyczna początków naszego stulecia. Ale „treści”, które przepędzali ze sztuki rosyjscy formaliści, Peiper czy Witkacy, oznaczały konkretnego przeciwnika, ściśle określone wzory interpretacji znaczeń literackich. Jednakże polemiczność ich argumentacji rozwiązała się z upływem czasu, a dziś, jakże często, tamte sądy kojarzą się z narodzinami metodologicznego i formalistycznego normatywizmu. *Wygnanym z literatury «treściom» nie zaproponowano innego teoretycznie statusu istnienia. Aby pozbyć się kłopotliwego upiora, orzeczono, że „literackość” nie ma nic wspólnego z „treściowością” i że obecność tej ostatniej jest tylko naniesieniem na utwory norm historycznych lub podmiotowych skłonności krytyków. Do dzisiaj przecież najmniej opracowaną w strukturalistycznej tradycji krytycznoliterackiej — mimo znakomitych prac Mukałowskiego i Sławińskiego — pozostaje problematyka semantyki i interpretacji utworów. Bo chyba trudno marzyć o sztuce, szkołach czy teorii *interpre-**

Braki
teoretyczne

tacji — choć jest to najczęstsza i nieunikniona czynność humanistyczna — jeśli brak jest rozbudowanej teorii *semantyki literackiej*. Nie można się bez niej obejść, bo znaczeniowość utworów wciska się do każdej wypowiedzi związanej z literaturą.

Jednocześnie jednak zastępuje się ją (semantykę) zdaniami o łatwości przenoszenia ogólników scjentycznie wypowiedzianych. Nadawca koduje, odbiorca dekoduje, szum szumi, a Pan Bóg kule interpretacyjne nosi — jakże często myśli te stają się *ostatnim* słowem badacza odpowiedzialnego. Dalej rozciąga się już *mare tenebrarum*, na które wpływają nieodpowiedzialni szaleńcy krytycznych zachcianek. Odkrycie, że historyczne realizacje interpretacyjne pozostają z sobą w jaskrawej niezgodzie, umieściło odpowiedź na pytanie o *sensy* utworu poza jego „granicami”. Zamiast teorii znaczeniowej struktury dzieła literackiego występują koncepcje dopełnień semantycznych. Mówi się o dziele otwartym w historii, tj. o jego kolejnych, chronologicznych aktualizacjach, lub o dziele otwartym ze względu na swą organizację semantyczną. Wówczas dzieło chce być różnie dookreślone przez czytelników swojej synchronii. „Dopełń mnie tu oto — powiada — albowiem jest po temu czas i miejsce. Pragnę tego i uznaję twoje wariacje”. Jest to więc zawsze typ lektury poprawnej, która własną poprawność funduje na rozbieżnościach czytelniczych realizacji. Także teorie „faktu literackiego” wyjaśniają semantykę przez społeczne mechanizmy lektury. Wszystkie te odpowiedzi *wypełniają pewne obszary znaczeniowej egzystencji dzieła*, ale żadna z nich nie umożliwia odpowiedzi na pytania dotyczące reguł poprawnej interpretacji znaczeń tekstu literackiego.

Różnice między zdaniami (i zadaniami) teorii i krytyki literackiej, tak jak je tu przedstawiam, świadczą o podejrzanym dziś statusie istnienia semantyki w teorii dzieła literackiego. Bo jeśli twierdzi się, że „literackość” tekstu i jego „zaczeniowość” podlega-

Kłopoty
z semantyką

Gdzie jest treść
pogrzebana?

ją dwu różnym typom działalności analitycznej (teoretycznemu i krytycznemu), to zakłada się, że *semantyka i literackość* to dwa odrębne zagadnienia. Przy okazji też uznaje się, że w utworze literackim istnieje sfera absolutnej dowolności interpretacyjnej, na której niechaj żeruje sobie krytyka, zwłaszcza ta z recenzenckich powijaków, oraz sfera pozasemantycznej „literackości” wymagająca ścisłej precyzji teoretycznych analiz. Jakkolwiek byśmy myśleli o literaturze teoretycznie pojmowanej, zawsze jednak dojść możemy do takich oto pytań: jak to się dzieje, że wartości „literackie” to jedno, a wartości poznawcze, etyczne, historiozoficzne itp. to drugie, chociaż *wszystkie* one zostały utrwalone w *tej samej materii słownej*. Jak więc jest to możliwe, że afirmując *językowość* utworu jako *jedyną realność* dostępną teoretycznej świadomości, uznajemy równocześnie, że tzw. treści światopoglądowe istnieją jakoś zupełnie inaczej, poza utworem, a w każdym razie nie w jego strukturze *językowej*? Czyżby zatem istniały one w literaturze inaczej niż w jej języku i czyżby były *komunikowane pozawerbalnie*, poza procesem lektury tekstu? A może specyficznie rozumiemy język — a z jakich powodów, to inna sprawa — a także i język utworu, i w konsekwencji samą „literackość”? Wzorem jej doskonałości pozostaje nadal język poetycki i nie od rzeczy będzie zauważyć, że najwcześniejsze koncepcje „literackości” związane były z najostrzejszą opozycją poezji i prozy. Stąd też dziś nierzadko można usłyszeć, że „literackość” lingwistycznie rozumiana jest możliwa, ale... tylko w teorii języka poetyckiego. Wypowiedzi narracyjne wymykają się jej swoistości i dlatego też można się nie przejmować — streszczając fabuły — powieściowością czy wydumaną teoretycznie swoistością prozy literackiej. Owa swoistość literacka utworów narracyjnych — przy takiej interpretacji powszechnie popularnej — okazuje się czystą neutralnością językową, abstrakcyjną układanką elementów — pustą grą bez-

treściowej, „formalistycznej” wyobraźni. Nietrudno sobie wyobrazić takie oto wyznanie. „Rzecz w tym, że język i metoda krytyka, traktującego dzieło literackie wyłącznie jako strukturę językową odpowiednio skomponowaną i uporządkowaną, szwankuje wtedy, kiedy stawiamy sobie pytanie o wartość utworu, o przymioty narratora, o właściwości światopoglądu bohatera, o miejsce autora w historii i jego związek z epoką. Opisywanie utworu literackiego tylko poprzez badanie wewnętrznych układów i powiązanych z nimi elementów stanowiących o strukturze powieści czy wiersza nie prowadzi bowiem do tego, co w krytyce wydaje się zarówno najbardziej trudne i odpowiadające, jak i najpotrzebniejsze: mianowicie do definiowania sądów o tym, czy dany tekst jest zły czy dobry, przydatny lub niepotrzebny, nowatorski czy tradycyjny, humanistyczny lub ahumanistyczny”. Ciąg dalszy i wnioski nietrudno przewidzieć. Ale stało się naprawdę coś bardzo dziwnego, bo w tym panującym typie świadomości literackiej *językowość* (!) literatury została przeciwstawiona wszystkim możliwym *problemom* humanistycznym, które przecież komunikowane są w literaturze i poza nią tylko i wyłącznie *językiem*.

Być może fakt, że język (i jego lingwistyczne badanie) kojarzy nam się tylko z opisywaniem asemantrycznych struktur, związany jest ze współczesną wiedzą o języku. Także i to, że semantyka lingwistyczna umiera śmiercią naturalną na progu zdania, nie pozostaje bez znaczenia dla wyobrażeń o językowych właściwościach literatury. Zarazem przecież to, jak rozumiany jest język (i znaczenia) w lingwistyce, decyduje o ich rozumieniu i interpretowaniu wszędzie tam, gdzie znajdują zastosowanie metody badań lingwistycznych. A nauka o literaturze nie znajduje się tu na szarym końcu. Tak więc lingwistyczna interpretacja „literackości” („nastawienie na znak”, „autonomizacja znaku”, „samozwrotność komunikatu językowego” itp.) przywołuje zawsze określoną kon-

Dziwne przeciwstawienie

cepcję języka. Zrozumiałą dla wąskiego grona badaczy, zbędną już dla grona czytelników konsumujących tylko owoce „literackości”.

Bardzo powoli zmierzam do nazwania spostrzeżeń sygnalizowanych od samego początku. Są one takie oto. Panująca w powszechnej świadomości krytycznej (a także i teoretycznej) koncepcja „literackości” literatury ma charakter radykalnie asemantyczny. Wielu teoretyków podkreśla — jak J. Sławiński — że „poetyckość” to przede wszystkim maksymalne nasycenie znaczeniami. Rozumienie „literackości” tylko jako eksponowanie znaku językowego jest też pewną jej interpretacją — rażąco wąską zwłaszcza w przypadku prozy narracyjnej. Bo oto zapytać można, czy rzeczywiście jest tak, że formuły umieszczające nieredukowalną i nieprzekładalną swoistość literatury w autonomizacji jej znaków są ostateczne i nie pozostawiające już nic do dopowiedzenia? Zapytać także można — z rozbijającą naiwnością — czy znak językowy to taka jednostka elementarna, poniżej której już zejść niepodobna? Inaczej mówiąc — czy znak językowy zrozumiały jest — jako podstawowy element określający „literackość” — sam przez się i bez reszty? Wątpliwości tu sygnalizowane mają taką argumentację. Żadna teoria lingwistyczna nie upoważnia do traktowania znaku językowego jako części wyizolowanej. Znak jest więc zawsze *całością* złożoną z nośnika materialnego i znaczenia. „Literackość” zatem rozumiana jako autonomizacja czy eksponowanie *znaku* musi także oznaczać autonomizację i eksponowanie *znaczenia*. Krótko mówiąc, „nastawienie na znak” można sensownie interpretować jako „nastawienie na znaczenie”. W takim rozumieniu wszelka koncepcja „literackości” okazuje się skrajnie semantyczna. Nieredukowalną i nieprzekładalną swoistością literatury stają się *jej* znaczenia. A ponieważ nie są one zawieszane w próżni, lecz są komunikowane językiem i poprzez różne sposoby jego organizacji, „literackość” powinna ozna-

Kilka pytań

cząc nieredukowalną jedność znaczeń i sposobów ich wypowiedzania.

Niesemantyczna interpretacja „literackości” prowadzić musi zawsze do opozycji między sensem utworu a regułami wypowiedzania tegoż sensu, do opozycji między interpretacją (krytyki) a „literackością” (teorii). I jest tak chyba właśnie, skoro semantyka jako konstytutywny element „literackości” literatury pozostaje nadal ziemią niezbadaną i niczyją. A jest to miejsce, które teoria literatury oddaje recenzenckim treściom — jak dotąd — bez walki. Stan wiedzy teoretycznej pozostaje przecież nie bez wpływu na powszechnie spotykane działania krytyki. I obojętnie w imię czego ona przemawia, Pana Boga Treści czy Szatana Formy, wszystkie jej zarzuty wpadają celnie do semantycznego ogródka literackiej teorii. Ale też wyrządzają w nim wiele zniszczeń. Formują społeczne przekonanie o zimnych społeczeństwach teoretyków odwracających się od gorących podmuchów treści. Minimalna obecność tekstów o interpretacji i tekstów, których podstawowym wysiłkiem jest interpretacja znaczeń literackich, świadczy tylko o niepewności i nieufności, jaką darzone są problemy semantyki wypowiedzi narracyjnych. Kryje się za tym także pewna norma wstydu czy zażenowania, jaka ujawnia się, ilekroć mowa o tzw. filozofii w literaturze lub jej „treściach światopoglądowych”. Wiadomo, że coś takiego istnieje, obdarzeni jesteśmy podobno „rozumem praktycznym”, ale jak istnieje i jak o tym czymś mówić z „naukową” odpowiedzialnością — niezupełnie jest to jasne.

Można oczywiście odpowiedzieć, że filozofia, historia, psychologia itp. *to konteksty* aktualizowane przez interpretatorów lub *szeregi pozaliterackie* czasem na nią nakładane. Wyobrażamy je wtedy sobie jak klocki dostawiane nawzajem do siebie, utożsamione (w interpretacji) z sobą, ale faktycznie istniejące *rozłącznie*. Tym samym więc najbardziej problematyczne staje się budowanie *pomostów* między teksta-

Zarzuty: celne
i szkodliwe

Mówi inaczej —
ale też coś

mi a ich kontekstami. Jeśli na przykład zapragnąłbym napisać o ambiwalencjach kreacji w prozie Schulza, skazany jestem na orzeczenia, iż wymyślam sobie (na mocy tylko krytycznoliterackich uprawnień) pomost między literaturą a jakąś filozofią. Literatura zaś w istocie swej „literackości” takowego bowiem nie posiada. A przecież wystarczy tylko przypuścić, że znaczenia humanistyczne nie występują tak osobno jak instytuty naukowe zajmujące się ich badaniem. To, że literatura *inaczej* wypowiada sensy, nie oznacza przecież, iż sensy owe w ogóle są nieobecne i że różnią się nieporównywalnie od myśli historiozofów, socjologów czy psychologów. Nie oznacza to też zapewne, że odpowiedzialnie przed Teorią badać można tylko „reguły wypowiedzania sensu”, a nie sensy tymi regułami wypowiedziane. Pytania o te ostatnie zbywa się najczęściej coraz mniej płodnym poznawczo wyjaśnieniem o wieloznaczności dzieła literackiego. Rezygnuje się tym samym z prób znaczeniowej, jednorazowej funkcjonalizacji kategorii poetyki, a jednocześnie z prób określenia *semantycznej ciągłości* tekstu.

Być może semantyka utworu literackiego jest takim interhumanistycznym obszarem, na którym spotykają się znaczenia różnych dyscyplin pozaliterackich. Może też jednym z zadań interpretacji byłoby sformułowanie sposobów, jakimi od „literackiego” dotrzeć można do znaczeń pozaliterackich. Ale określenie ostatnie użyte zostało z braku innego. Czy istnieją bowiem znaczenia literackie i pozaliterackie? Pragnąc wyodrębnić literaturę z otaczającej ją rzeczywistości humanistycznej, dokonuje się przeciwstawień literatura — filozofia, literatura — teatr, literatura — nauka itp. Ale przeciwstawienia te opierają się na dwóch różnych kryteriach. Pierwsze (literatura a teatr, malarstwo, muzyka) wskazuje na różnicę *semiotyczną*, tj. na innościowość systemów znaków — najogólniej: werbalne a niewerbalne. Drugie (literatura — filozofia) polaryzuje ten sam

(tj. językowy) system semiotyczny. W przypadku pierwszego twierdzi się, że o różnicy znaczeń decydują różne systemy znakowe, w przypadku drugiego — różnice w organizacji wypowiedzi. O ile nie sposób kwestionować różnic ontologicznych i różnych sposobów wypowiedzenia znaczeń, o tyle trudno uwierzyć w istnienie odrębnych *znaczeń* dla literatury, teatru czy filozofii. Wówczas bowiem nie byłby możliwy żaden przekład intersemiotyczny, nie wspominając o jedności kultury, którą tworzą przecież różne systemy znakowe... *Świat znaczeń jest jeden* — różnicują go jedynie sytuacje komunikacyjne, sposoby wypowiedzenia, systemy znaków i funkcje, jakie mu przypisujemy. Różnicują, co nie znaczy, że dzielą na opozycyjne, alternatywne obszary. Semantyka literacka — która w tym projekcie wchłonąć powinna „treści”, „problemy” i „światopoglądy”, o jakie walczy krytyka — przypomina nieco metafizykę Kanta. W takim oto sensie, w którym odrzuca pytania o to, czy istnieje, lecz usiłuje dotrzeć do odpowiedzi, jak możliwe jest jej teoretycznie prawomocne interpretowanie, opisywanie lub badanie.

Z tego miejsca rozpościera się już wiele dróg. Jedną z nich, wcale nie najłatwiejszą, powinni podążać i Krytyk, i Teoretyk. Nie z podejrzliwością lub z obojętnością, lecz ze zrozumieniem konieczności poznawania teoretycznych uwikłań interpretacji utworów, albowiem jest to droga niezbędna dla dotarcia do nieznanej ziemi obiecanej — znaczeń: „problemów” i „treści” literatury.

Być może stanowiska krytyki i teorii, jakie powyżej opisywałem, w ogóle nie istnieją. Są zbyt uproszczone, by ogarnąć bogactwo rzeczywistości wiedzy metaliterackiej. Są nieodpowiedzialnym wybrykiem, wymysłem, fikcją. Jednakże *fikcją* jest także literatura...

Wiele sposobów wypowiedzenia tych samych znaczeń